

Marolambo, dnia 28 grudnia 1983 r.

*Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Maryja Niepokalana!
Drodzy Przyjaciele Misji Oblackiej na Madagaskarze!*

Boże Narodzenie po polsku zaplanowaliśmy przeżyć w Ambinanindrano w dniu 27 grudnia i te-go dnia rano wyjechaliśmy naszym samochodem. Nietypowym bagażem była ładna walizka Ojca Mariana, który wyjeżdżał na urlop do Polski. Niestety, przejechaliśmy niecałe 25 km i zatrzymała nas woda na drodze, głębokości ponad metr, uniemożliwiając pokonanie jej nawet land-rover'em. Po prostu obfite opady spowodowały podniesienie się wody w rzece Nosivolo o 3 metry i woda z rzeki wlała się do wpływających strumieni, a w niektórych miejscach droga wzdłuż rzeki prowadzi tuż przy brzegu. Ojciec Marian wziął swój bagaż, pirogą przewiózł przez rozlewisko, wynajął tragarzy i na pieszo udał się do Ambinanindrano, przechodząc 35 km. My dwaj zaś powróciliśmy do Marolambo, chociaż też mieliśmy nieco problemów z podjazdami po bardzo śliskiej drodze zwłaszcza, że silnik nie dał rady wycofać samochodu pod górę i trzeba było zawrócić tuż przy rozlewisku na bardzo wąskiej i też bardzo śliskiej drodze. W południe zajechaliśmy na naszą misję i zwolniliśmy stróża umówionego na trzy dni. Obiady nie było, ale udało nam się zaspokoić głód, kolację przygotowała już kucharka, a dziś od rana piszę ten list, który jeszcze by nie powstał, gdyby nie zła droga... Ale już wracam do wspomnień o wielkich i mniejszych przeżyciach.

W końcu września wyruszyłem do części południowej mego sektora. Odwiedziny przebiegły „zgodnie z przewidywaniami” i już potrafię przewidzieć zachowanie się katolików w poszczególnych wioskach. Prawie nigdzie nie ma regularnej nauki katechizmu i nie mogę też ochrzcić małych dzieci, póki starsze rodzeństwo nie zacznie się uczyć katechizmu. Nie chcę produkować ochrzczonych pogan. Sama droga jest łatwa, przejścia od jednej do trzech godzin, więc żadne nie jest męczące, z wyjątkiem ostatnich dwóch dni: przeszedłem 50 km. Już nie mogę zatrzymywać się w wiosce przy szpitaliku, gdyż pracująca tam pielęgniarka została przeniesiona do innej miejscowości i ostatecznie upadła nadzieja na powstanie wspólnoty katolickiej w tej wiosce. W niedzielę szybko (przez dwie godziny) przeszedłem 15 km do wioski, w której zgromadziła się młodzież w celu założenia chrześcijańskiego stowarzyszenia młodzieży wiejskiej. Proszono mnie o pozostanie. Niestety, po południu miałem odprawić Mszę Świętą 10 km dalej, więc na pół godziny przysiadłem na werandzie domu, aby porozmawiać. Okazało się, że organizatorzy nie powiadomili misjonarza, gdyż wiedząc o takim zebraniu pozostałbym z nimi i nie obiecywałbym Mszy Świętej w centrum tej części mego sektora. Iść dalej musiałem. Niestety, miałem kłopoty z przejściem i pomimo dobrej drogi „samochodowej”, w większości prowadzącej ku rzece, a więc z górki, szedłem trzy godziny. Z trudem odprawiłem Mszę Świętą, chociaż na nogach nie widziałem nic niepokojącego, ranek i skaleczeń było nawet mniej niż zazwyczaj. W poniedziałek wyszedłem już o świcie, aby uniknąć marszu (25 km) w południowym upale. O 10-ej byłem w domu. I tu zaczęły się wielkie radości i kłopoty.

We wtorek pojawiło się na moich nogach kilka nowych małych ranek. Zbyt nie przejąłem się, gdyż są to zjawiska zwyczajne. Ale pojawiły się też podobne w okolicach ust i na policzku, co już zwykłą rzeczą nie było. Byłem też słabszy, niż zwykle. A kiedy w środę nic się nie polepszyło, z pobliskiego szpitala Ojciec Marian przywiózł lekarza, który opatrywał moje nogi w momencie przybycia naszego Księdza Biskupa. Spojrzawszy na nogi Ksiądz Biskup wydał mi polecenia pozostania na misji przynajmniej przez 6 tygodni. O tyle polecenia to było łatwe do spełnienia, że do połowy grudnia nie zaplanowałem żadnego wyjścia z misji i żadnych pokus na nieposłuszeństwo nie miałem. Przykre było to, że do soboty włącznie nie odprawiałem Mszy Świętej razem z Księdzem Biskupem.

Natomiast na misji było gwarno i radośnie. Droga z Ambinanindrano była doskonała, od trzech tygodni nie było deszczu, ziemia wyschnięta, twarda, można było jechać szybciej (5 godzin). O godzinie 11-ej moi współbracia byli jeszcze przy kończeniu porządków, gdy Ksiądz Biskup i siostra Claire (Klara), Malgaszka ze Zgromadzenia Córek Bożej Mądrości, weszli do

naszego domu, aby napić się czegoś orzeźwiającego. Wkrótce przybyli wierni powitać Księdza Biskupa i Siostrę Klarę, którzy rozpoczęli swoją pracę przygotowującą do radosnych przeżyć. Siostra przeprowadzała trzydniowe rekolekcje przygotowujące młodzież do Sakramentu Bierzmowania, a Ksiądz Biskup wciąż rozmawiał z wiernymi, którzy przedstawiali problemy misji (sprowadzenie siostr, otwarcie szkoły katolickiej po 12 latach), a także przysłały swoje delegacje różne organizacje katolickie: Legion Maryi (kobiety katolickie), Harcerze i Harcerki, Chrześcijańska Młodzież Wiejska, Krucjata Eucharystyczna...

W sobotę, dnia 15 października, późnym popołudniem rozpoczęliśmy uroczystości związane z „Rokiem Świętym”. Nabożeństwu przewodniczył Ksiądz Biskup. Po wystawieniu Najświętszego Sakramentu dłuższą drogą przeszliśmy do Groty Matki Bożej z Lourdes (Lurd), w której figurkę Matki Bożej i Bernadetty odmawiającej Różaniec pięknie odmalował O. Jan Kely, doprowadzając także przewody, aby wieczorem mogła być oświetlona. W procesji wszyscy (beze mnie) szli z zapalonymi świecami. Przy grocie Ksiądz Biskup postawił Monstrancję na przygotowany stolik. Zapadał zmierzch i płomyki świec coraz bardziej wytwarzały odpowiedni nastrój. Po odmówieniu cząstki Różańca w procesji z Najświętszym Sakramentem wszyscy obeszli główny plac miasta wzbudzając żywe zainteresowanie tych, którzy do wspólnoty katolickiej nie należą. Zupełnie ciemno już było, gdy procesja weszła do kościoła i wszyscy rozeszli się do domów na kolację. Po kolacji na werandzie domu misyjnego został wyświetlony film przedstawiający misjonarza trędowatych na Molokai, Ojca Damiana.

Główne uroczystości odbyły się w niedzielę, dnia 16 października. Od rana duży ruch. Na werandzie leżał duży pięciometrowy krzyż z bardzo twardego drzewa okrągłego mający napis: „TAONA MASINA 1983” czyli „ROK ŚWIĘTY 1983”. I na werandzie rozpoczęły się uroczystości. Po poświęceniu przez Księdza Biskupa wyruszyła procesja z krzyżem, który był poprzedzony przez młodzież mającą otrzymać Sakrament Bierzmowania. 41 młodych osób ubranych w strojach wypożyczonych z misji: białe alby przepasane szeroką niebieską wstęgą. I ci zasiedli w pierwszych ławkach w kościele. Sakrament Umocnienia został im udzielony podczas Mszy Świętej. Przed procesją z Krzyżem każdy z bierzmowanych otrzymał dość duży drewniany krzyż (około 15 cm wysokości) przysłany w skrzyniach z Polski. I wielu nosiło ten krzyż na piersiach w tym dniu i podczas odwiedzin misjonarza w ich wioskach. Nabożeństwo zakończyło się przed kościołem, dokąd zaniesiono ten duży Krzyż, aby postawić w ziemi, przed wejściem do kościoła, z lewej strony wielkich drzwi. Krzyż jest dobrze widoczny z głównego placu miasta.

Ale Ksiądz Biskup i najgorliwsi poszli jeszcze do odbudowanego i powiększonego domu katechetycznego, który stał się salą teatralną. Po zamknięciu szkoły katolickiej budynek służył za magazyn miejscowej spółdzielni produkcyjnej i jeszcze przed pół rokiem było tu 19 ton kawy przeznaczonej do wywozu do Tamatawy. Niełatwo było ją wywieźć, ale dom na czas został wyremontowany. Bierzmowani wspólnie zjedli obiad, a całe popołudnie było dobrze wykorzystane na pogawędki i spotkania. Kolację zjedliśmy wspólnie z katechetami i Radą Parafialną. Po posiłku chętni (niechętnych poza mną nie było) w nowopoświęconym domu oglądali przedstawienie o Św. Franciszku z Asyżu, przeplatane pięknymi śpiewami malgaskimi. Jakby wszystkim było mało, pozostali na projekcję filmu. Tym razem yostała pokazana postać proroka Daniela ze Starego Testamentu.

Ksiądz Biskup odjechał do Tamatawy w poniedziałek bez problemów. Sucha droga cieszyła podróżujących, ale Malgasze byli zmartwieni. Listopad jest miesiącem siania ryżu i susza zapowiada nieurodzaj, czyli głód. Dopiero dnia 16 listopada spadł deszcz, prawdziwy znak Bożego Błogosławieństwa. Ludzie nabrali otuchy. Kończono z pośpiechem wypalanie ściętych krzewów na zboczach pagórków i ryż siano wszędzie. Ale po zasianiu ryżu trzeba przepłaskać ptaki, które też mając pragnienie życia wygrzebują ziarna wrzucone w ziemię. Potem jeszcze trzeba będzie opieścić dwukrotnie, zanim zostaną zebrane plony w kwietniu.

Ja zaś „odpoczywałem” przebywając na misji. Szybko odzyskałem utracone podczas ostatniego obchodu 4 kg i z tego powodu trudniej mi jest chodzić, gdyż muszę nosić swoje 86 kg. Pomimo niejednokrotnie dużych wysiłków i długiego chodzenia nie udało mi się nigdy schudnąć poniżej 82 kg. Ale ran na nogach już nie mam i normalnie mogę karmić króliki, których nagle

zrobiło się dużo (4 stare i 13 małych, niektóre niesprzedane szybko się zestarzeją). Zależy mi na tym, aby ludzi zachęcić do hodowli takich małych zwierząt domowych. Trawy tu nie brakuje, a mięso jest smaczne. Nie ma innego sposobu do zachęcenia ich, jak tylko własny przykład. Po prostu wykorzystuję ich kompleks Europejczyka i naśladując mnie będą mieli pożytek. Oczywiście można nadużyć ich pragnienie naśladowania nas, np. nauczyć powitania po polsku, jak to zrobiła pewna malgaska zakonnica. Podając polskiemu misjonarzowi na powitanie rękę z dumą i z polskim akcentem powiedziała: „jestem głupia stara baba”. Polak parsknął śmiechem, siostra zakonna coś podejrzewała i już - niestety - do pożegnania po polsku nie doszło, a brzmiało jeszcze paskudniej: „odwróć się i spieprzaj”.

Kiedy minęło sześć tygodni odpoczynku nakazanego przez Księdza Biskupa, pewnej niedzieli grudniowej wsiadłem na motor honda 125 ważący podobno 145 kg i bez problemów przejechałem 17 km. Postawiłem motor przy ścianie domu katechety, a sam założyłem francuski plecak (wygodniejszy, bo dużo lżejszy od plecaka polskiego), przejechałem rzekę pirogą i przszedłem 9 km. W tej wiosce odprawiłem Mszę Świętą, tym razem nie kusząc się na odsuwanie „ołtarza” od ściany. Potem zjadłem obiad i wróciłem do sąsiedniej wioski, aby odprawić drugą Mszę Świętą. Tutaj zaskoczyli mnie chrześcijanie witając ze śpiewem przed wejściem do wioski. Śpiewali także we wskazanej mi chacie. I w ten sposób powstał zwyczaj oczekiwania na misjonarza przed wioską, w której jeszcze pół roku temu nikt nie dawał znaku odzycia „umarłej” wspólnoty. Oby tak dalej. Po południu z pośpiechem wracam do rzeki, przepływam pirogą i nie wdając się w dłuższą rozmowę jadę do domu, aby zdążyć przed nocą. Dzięki temu wyskokowi mogłem skrócić bożonarodzeniowy obchód misyjny o dwa dni. Co prawda, nie odprawiłem Mszy Świętej jeszcze w czterech wioskach, ale to jest zawsze możliwe w jakąkolwiek niedzielę, gdy nas dwóch zostaje w misyjnym domu.

Dnia 15 grudnia wyruszyłem z domu na dziesięciodniowy obchód. Jak zwykle, po przepłynięciu rzeki łatwa droga prowadzi wśród lasów, widać trochę ryżowisk i bagien. W sobotę zachodzę do centrum Andonabe. Jest tu obok kościoła dwuizbowy dom dla misjonarza i trochę więcej krzeseł. Łóżko też jest wygodniejsze, a przede wszystkim tu jestem „u siebie” i sam mogę zdecydować o ustawieniu mebli czyli stołu i krzeseł w jednym pokoju, a łóżka w drugim. W zamkniętej skrzyni jest trochę rzeczy pozostawionych przez kogoś z misjonarzy i nieużywanych od wielu lat. Kiedyś nawet otworzyłem tę skrzynię. Nieraz zastanawiam się, co z nimi zrobić, gdyż mnie nie są potrzebne jakieś serwetki czy plastikowe talerzyki itp. Ale mnie też to nie przeszkadza, więc czekam na odpowiedź tego, kto to zostawił i już tu nie powróci. I wiem, że już nie powróci. Oby po moim odejściu stąd nie mieli takiego problemu moi następcy. Jednakże tym razem mam dużą radość. Po raz pierwszy w niedzielę błogosławię młodych małżonków. Pan młody ma lat 65, przez wiele lat był katechetą, odwiedzał też sąsiednie wioski jako inspektor. Kiedy został szefem powiatu, nie przestał udzielać się w kościele. Pani młoda ma lat 21 i do chwili zaręczyn była katechetką we wspólnocie protestanckiej. Ze względu na miłość do swego męża postanowiła zostać katoliczką. Zaczęła uczyć się katechizmu katolickiego, aby przed Mszą Świętą w niedzielę wyspowiadać się, złożyć wyznanie wiary i zawrzeć związek sakramentalny jako katoliczka, więc mogła już przystąpić do Komunii Świętej razem ze swoim mężem. Zresztą tylko dlatego mogłem ich pobłogosławić podczas Mszy Świętej. A zaraz z kościoła wszyscy poszliśmy do domu Pana Młodego, 5 kilometrów do sąsiedniej wioski i tutaj odbyło się wesele: nieco lepszy obiad. Do ryżu dodano nie tylko jarzyn, lecz także więcej mięsa. Zwyczajem malgaskim wszyscy siedzieli na podłodze (dokładniej na plecionych matach rozłożonych na podłodze). Ja siedziałem na krzeselku przy stole między dwoma starcami: jeden jest szefem wspólnoty katolickiej, drugi jest szefem wioski pana młodego. Tańców i muzyki nie było. Wieczorem, po kolacji, zebraliśmy się na śpiewy. Pan młody dokuczał żonie, że nie umie śpiewać, a ta tłumaczyła się, że jest jeszcze uczennicą śpiewów katolickich. Spałem w tej wiosce, w dużym domu pana młodego. Szczurów też było dużo. Na drugi dzień, po śniadaniu, poszedłem w dalszą drogę.

Tym razem zatrzymałem się po raz pierwszy w dwóch wioskach znanych mi jedynie z nazwy. Od dwóch lat przechodziłem obok zabudowań, teraz przyjmują mnie. Podczas Mszy Świętej jest po kilkanaście osób, jedynie dwie lub trzy osoby mogą przystąpić do Komunii

Świętej. Ale przyjmują mnie, więc jest nadzieja. W drugiej z tych wiosek przyjmuję do katechumenatu kilkanaście młodych osób dając im medaliki na znak, że pragną przyjąć Chrystusa Świętego. To cieszy najbardziej. W innych wioskach jest podobnie, choć ilość proszących o Chrystusa Św. jest znacznie mniejsza. Najbardziej przykre wrażenie odnoszę w ostatniej wiosce, gdzie dałem dzieciom kilka obrazków, które starszy wiekiem szef wspólnoty zebrał do obejrzenia i... schował do swojej szuflady. Podobnie zrobił z katechizmem wcześniej podarowanym katechecie. Wszystko jest troskliwie przechowywane i zabezpieczone w jego szufladzie. I nie dziwię się, że młodzież nie ma chęci uczestniczenia w niedzielnych nabożeństwach bez księdza. W starannie prowadzonym dzienniku modlitw widzę tylko 5 lub 6 osób modlących się regularnie.

W Wigilię Bożego Narodzenia powracam do centrum. O godzinie 16-ej odprawiam Pasterkę, podczas której siedemnastka dobrze przygotowanej młodzieży przystępuje do Pierwszej Komunii Świętej. Potem wszyscy udają się do domów i przygotowują sobie kolację. Ka też zjadłem przyniesiony mi posiłek, którego nie przygotowywałem: ryż, kilka kawałeczków kury czy kurczaka, a może koguta, bo w tak drobno posiekanych cząstkach trudno odróżnić, a do popicia herbatę z ryżu. Ja zaś dokupiłem sobie prawdziwego ananasa za cenę długopisu i w miejsce polskiej wieszki zjadłem połowę po kolacji, resztę po północy. Około godziny 20-ej młodzież rozpoczyna przedstawienie pieśnią powitania wszystkich obecnych. Niestety, bezwiednie przerwałem tę pieśń wybiegając z kościoła po lekarstwo. Dziesięcioletni chłopiec dostał ataku malarii i leżał na podłodze kościoła trzęsąc się z zimna. Nie pomyślałem, że ja muszę być obecny, gdyż pierwsza zwrotka pieśni na powitanie była poświęcona misjonarzowi. Gdy powróciłem, śpiew rozpoczęło ponownie od pierwszej zwrotki. Przez trzy godziny i pięćdziesiąt minut młodzież przypominała nam historię Objawień Matki Bożej w Fatimie, wiernie odtworzonej według filmu wyświetlanego przez nas w kościele w Marolambo w pierwszą i drugą niedzielę Adwentu. Dwukrotnie oglądał ten film katecheta z Andonabe robiąc notatki. Owocem jego trudów było wspaniałe widowisko. Pięknie wyrazili nawet jazdę samochodem przy pomocy prymitywnych środków (posuwanie obuwia po deskach podłogi-sceny). Nie brakowało tańców i śpiewów o Łucji, Matce Bożej, no i oczywiście o Narodzeniu Bożego Syna w kościele w Andonabe właśnie o północy. W radosnym nastroju odnajdowaliśmy drogę do domu w ciemności nocy. A gorszącym się Polakom z powodu odprawianej Pasterki po południu wyjaśniam, że tutaj chodzi o bardzo prozaiczny wzgląd. Po przedstawieniu jest tyle kurzu i brudu, że odprawianie Mszy Świętej byłoby niewłaściwe, co dobrze zrozumieli tutejsi chrześcijanie. Obecni byli protestanci i anglikanie. Katolicy do nich też pójdą na przedstawienie w sam dzień Bożego Narodzenia: wczesnym popołudniem w jednym kościele i wieczorem w drugim. Katolicy jeszcze raz przedstawiają historię objawień Matki Bożej w Fatimie. Już sami ustalą porządek nie przeszkadzając sobie nawzajem. To cieszy, chociaż nie cieszy podział chrześcijaństwa.

W Boże Narodzenie odprawiłem Mszę Świętą już o godzinie 8-ej i zaraz po Mszy Świętej przyniesiono mi drugi posiłek, który zjadłem w pośpiechu. Cały mój bagaż zabrał młodzieniec towarzyszący mi przez 25 km do domu, ja zaś wziąłem do kieszeni puszkę skondensowanego mleka na wypadek zmęczenia. Katolicy zaś zostali w kościele na wspólny obiad gotowany przed kościołem już podczas Mszy Świętej. Każdy przyniósł porcję ryżu dla siebie wsypując do kotła i zapłacił za porcję mięsa przeznaczoną dla niego. Kiedyś i ja jadłem tu wspólny obiad siedząc za stołem pomiędzy najgodniejszymi: z jednej strony szef wspólnoty katolickiej, z drugiej mojej strony „ojciec i matka” czyli szef wioski. Mnie nie gorszy ten zwyczaj, chociaż za plecami miałem Tabernakulum z zapomnianym na ten czas Panem Jezusem i z pewnością teraz było podobnie. Bo gdzie ci ludzie znaleźliby taki lokal, aby wspólnie zjeść obiad? A ten wspólny posiłek wraz z przedstawieniem należy do istotnej części przeżyć bożonarodzeniowych.

W drodze powrotnej przechodziłem obok trzech kościołów. Pierwszy stał w wiosce, do której nie wchodziłem, ale do mnie dochodził piękny śpiew młodzieży. Nie wiem, kto tam śpiewał, gdyż młodzież z tej wioski spotkałem w drugim kościele zbudowanym tuż obok drogi, więc wszedłem. Przedstawienie przerwano, aby się ze mną przywitać. Zaskoczyła mnie duża choinka liściasta, bardzo gęsta, stojąca na środku kościoła. Były też i świeczki, osadzone w

bambusie, ale wystające daleko poza liście „choinki”. Kościół ozdobiono kwiatami tak bogato, że dawało to wrażenie, jakby ściany były tylko z kwiatów i zieleni. W trzecim kościele modlono się pod kierunkiem katechety, a że modlitwy zbliżały się już do końca, poczekałem kilka minut na schodkach przed kościołem, niezauważony przez modlących się. O godzinie trzeciej doszedłem do rzeki, Potem już przejazd w dużej pirodze i po kilku minutach spotkanie ze współbraćmi w domu.

Tym razem miałem szczęście. Dwie godziny po przybyciu do domu rozszalała się burza. Po raz pierwszy widziałem deszcz padający poziomo, Zmoczył mi wszystkie papiery leżące na biurku przy oknie, chociaż weranda ma trzy metry szerokości, a rynna zbierająca wodę z bocznego okapu dachu jest na poziomie górnej futryny okna. Dla wyjaśnienia dodam, że w oknie nie ma szyb, ale bardzo gęsta siatka przeciw komarom. Dzięki temu mam zawsze świeże powietrze bez otwierania okien dla wietrzenia. Jedynie na noc zamykam ciężkie, drewniane okiennice.

W kościele w Marolambo młodzież powtarza nocne przedstawienie. I tutaj Pasterka była późnym popołudniem. Ja jednakże nie zszedłem z góry do kościoła zadawalając się słuchaniem śpiewów siedząc na werandzie przed moim pokojem. Mogę oglądać z góry dach kościoła i panoramę wioski, przepraszam bardzo, wojewódzkiego miasta Marolambo o pełnym tysiącu mieszkańców!

W drugi dzień Bożego Narodzenia byliśmy już w domu w komplecie i szykowaliśmy się do spotkania współbraci w Ambinanindrano, do którego nie doszło. Ale od tego przecież zacząłem ten list, więc już kończę mając nadzieję, że jeszcze jeden list przed moim urlopem Wam napiszę.

*Z serdecznym pozdrowieniem
w Chrystusie i Maryi Niepokalanej
O. Jan Sadowski, OMI*

PS. Dziś w dopisku coś bardzo poważnego. Po wydrukowaniu mojego listu w „Przewodniku Katolickim” z okazji Tygodnia Misyjnego otrzymałem kilkanaście listów od nieznanomych Czytelników, którzy prosili mnie o konkretne informacje, a przynajmniej o potwierdzenie, że pozdrowienia doszły. Nie mogę podziękować wszystkim, na przykład Przyjaciołom Misji z Zawiercia, gdyż zapomnieli podać swojego adresu. Wrocławianin gorąco proszący mnie o odpis wysłał swoją pocztówkę z Krakowa, a swojego adresu nie podał. Poradźcie mi, co mam zrobić? Chociaż znam takiego, który wrzucił list i dopiero wtedy uświadomił sobie, że zapomniał napisać adresu odbiorcy. Jak taki się nazywa? Za prawidłowe rozwiązania zagadki nagroda w postaci obrazka narysowanego przez malgaskie dziecko.

* * * * *